

● Uczestnicy zimowiska — autorzy zamieszczonych tu prac pozdrawiają wszystkich, którzy kiedykolwiek byli i będą drukowani na tej stronie „Np”.

● Przypominamy, że pisząc do KMA należy podać do wiadomości redakcji swoje imię, nazwisko, dokładny adres, wiek, szkołę.

Kropla wieczornego nieba

Robi się coraz ciemniej, a granica między połyskującą ołowiem gładką taflą morza i wieczornym niebem zaciera się w zmrzoku.

Czekam na chwilę, kiedy plaża opustoszeje i zostanę z morzem sam na sam.

Niebo granatowiejsze, ale nie widac gwiazd. Może to chmury?

W mroku pełnym szaroniebieskich cieni, na granicy do której dochodzą sennie fale, bieleje tylko pasmo piasku.

Teraz mogę wyjść na brzeg i posłuchać cichych westchnień morza.

Teraz mogę popatrzeć na głęboki granat nieba, próbuję wspiąć się na palce — może dosięgnę?

Jednak zdaje mi się, że najlepsza byłaby szpilka. Kiedy trzymam ją w wyciągniętej ręce, w dziwny sposób wydłuża się aż do dotknięcia ostrzem palpu nieba.

A może to właśnie niebo wieczorem obniża się, aby pograżyć nas w cieniu?

Z miejsca, które dotknęłam szpilką, spływa niebieskim smutkiem kropla wieczornego nieba. Po niej zostaje biała świecąca plamka, która wygląda jak gwiazda, chociaż gwiazdą nie jest. Kro-

pelka, zastygła w szmaragdowy kamyczek, przepada w piasku. Teraz nie potrafię jej znaleźć, ale może kiedyś w tym miejscu odzyskam małego pierścienek z oczkiem ze szmaragdu?

Na rozmażanej i prawie niewidocznej w mroku granicy nieba z wodą, pojawiają się teraz i nika drobne mdłe światelka; zdaje mi się, że udają błędne ogniki.

Jedna jasna plamka coraz bardziej zbliża się do brzegu. Jest większa i bardziej błyszcząca niż pozostałe. Z daleka wygląda jak srebrne coś, kołyszace się na falach. Czajnik? Śmieszne! Jeśli jednak czajnik, to w jaki sposób mógł się tutaj znaleźć? Kołyszace się na falach, jakby był zupełnie pusty w środku, i połyskuje srebrzyście chociaż nie ma kieszycy, a na niebie błyszczy tylko jasna plamka — ślad po szmaragdowej kropki.

Na spokojnej prawie czerni morza połyskuje srebrna luska. Czy ta droga ma ktoś nadejść?

Rano nie mogę już nigdzie zobaczyć srebrnego czajnika. Ale jeśli był — może być pewna, że tylko ja go widziałam.

EWA SOL



Oklamie

Dam ci twarz pogodną
Nie poranę brudami
Myśli
Nie chcę abyś zobaczył
W moich oczach
Prawdę
Chcę abyś odszedł
Jak wszyscy

ELŻBIETA PIEPRZYK

Szary dzień nie jest taki szary

Koszary, mundur, obowiązek i dwadzieścia przeżytych lat. Zakłęte snem postacie tych dziesięciu. Dzieśnięć z plutonu. Każdy z innej strony kraju, różne charaktery, przyzwyczajenia, bolączki. Mówią — stracona młodość. Może i tak — szczeniaku z pozoru. Przylądkiem nas tu chce nauki, zdobyć zawodu oraz romantyczność tego zawodu. Szkoła Oficerów Pożarnictwa, jedyna w Polsce, dała nam tę możliwość. Napisałam nie jeden artykuł o tej szkole pod znanymi mi tytułami „Szkoła charakteru” itp. Narzucono mi wewnętrzny i zewnętrzny obowiązek. Wewnętrzny — aby oświadczyć nie zawiesz, nie przespać alarmu, nie zatać się w akcji. Zewnętrzny — przestrzeganie regulaminu.

Skończyłem technikum. Świat widziany przez różowe okulary — młodość. Wyobrażałem sobie inaczej swój przyszły dzień pomaturalny. Będę swobodny. Jednak po otrzymaniu dyplomu nasunęło się pytanie — co dalej? Wybrałem S.O.P. — kolejna szansa wyrwania się z szarości — praca, dom, dom, praca. W wakacje to jedna wielka rozterka, niby się śmiałem, wędrowałem, uprawiałem sport, lecz myśli klebiły się jak balwany morskiej fali. Wyjechałem do Warszawy w sierpniu na egz-

miny (matma, chemia, fizyka oraz sprawdzian sportowy). Zostałem przyjęty. Pierwszy rok to praktyka we Wrocławskiej Komendzie Straży Pożarnej. Przyjechałem niepełny przyjeżdżając. Droga ze stacji do komendy ciągnęła się w nieskończoność. W końcu stanąłem przed maszyną, szarym budynkiem, wskazanym przez przypadkowo spotkanego mężczyznę, „Klasztor”? — pierwsza refleksja. W gabinecie powitał mnie uśmiechem młody porucznik, spisał personalia i skierował do sypialni. Wchodząc, starałem zabić w sobie lek uśmiechem. W sali było już kilku nieznanymi, z którymi miałem dzielić swoje zmartwienia. Kto? Jak? Co? — pytania sypały się z każdej strony.

Płynęły dni w moim „klasztorze”: rano zajęcia i wykłady. Należy zdać kurs zawodowego strażaka.

Do godziny piętnastej mój drugi dom był szarym, mało ciekawym budynkiem. Po południu i wieczorem stare zabudowania dudniły życiem w całym tego słowa znaczeniu. Zajęcia sportowe, gry i zabawy, kącik do nauki, kącik hobbystów. Szary dzień jesienny — barwny tęcza. Poznałem bliżej „tych naszych”. Teraz to już nie nam nie przeszkadza. Ani naleciałości mowy potocznej, nawet bariera różnych charakterów

jest do pokonania. Mamy po dwadzieścia lat, chcemy korzystać i korzystamy z dobrodziejstw młodości. Służba jest służbą a młodość młodością. To co, że nieraz jest wiele roboty, trzeba w nocy wychodzić do akcji, czasem przez ludzką głupotę jedziemy zdenerwowani, niepełni. Spi sobie człowiek smacznie, marzy, a tu światła, dzwonek, wyje syrena — alarm!

Spodnie nalożone na buty leżą przy łóżku, starczy tylko wsunąć nogi w buty a ma się już ubrane spodnie, bluza pod pachę i biegiem do służby, zjazd i do wozu (kilka dziesiąt sekund). Pędzi samochód, wyjąc przenikliwym głosem syreny. Jadąc do akcji kierowca „zapomina” o znakach drogowych, narażając siebie i innych na niebezpieczeństwo, ale tak już musi być, to jest wezwanie pomocy. Podane ze strony szkoły piętnaście kilometrów za Wrocławiem. Jest przenikliwy zimno. Trasa duża się, wreszcie cel, ale zamiast pożaru zabawa. Podchmieleni osobnicy ze zdziwieniem patrzą na nas.

Częściej bywa jednak inaczej. W tę samą noc był drugi wyjazd, tym razem płonęła willa i mimo że do chwili ogłoszenia alarmu do wyjazdu minęło czterdzieści pięć sekund oraz pięć, siedem minut jazdy — płonął już parter. Dym, gorąco, zmęczenie.

Zawód mój jest zawodem romantycznym. Mundur przesycony potem i dymem, buty brudne, zaspane oczy i walka, walka o życie ludzkie, mienie społeczne a potem podziękowania.

Moja dziewczyna jest taka jak inne. Poznałem ją na jakiejś zabawie, już sam nie wiem gdzie i kiedy. Pierwsze spotkanie i od razu zaskoczenie, gdy powiedziałam, że jestem w „oficerce”. Nie lubi munduru. Byłem przekonany, że znajomość ta zostanie szybko zerwana, jednak kino, teatr, kawiarnia, powrót do rozmowy na temat munduru. Tymczasem, że mundur zakrywa cechy i te złe i te dobre, że kryje charakter człowieka, nie, nawet jej nie przeobowiąłem. Przecież idzie obok mnie — mundurowanego.

WŁADEK Z NH

Miniatury domowe



MATKA
przychodzisz
witam cię
szklanką herbaty
czystą łąką
OJCIEC
śmiesz się
gdy ci mówię
że masz twarz
jak wysychająca rzeka
a twój okręt
płynie wolniej
niż przed rokiem

SŁOWO DO OGRODKA
ciebie ogrywamy
każdej wiosny
bóg zielone powietrze
ja kolorowa sukienka
DRZEWIA
dlaczego śpiewacie
o Fuente Waqueros*)
skoro jesteście brzozi
a nie drzewami
pomarańcz

MORWA

*) miejsce urodzenia Garcí Lorci

Protestujące pajacyki

Ma siedemnaście lat. Nie różni się prawie niczym od siedemnastoletniego Człowieka. Ludzie podchodzą, biorą go za rękę, chcą do niego napisać list, albo iść z nim na spacer.

Nie ruszajcie go! To pajacyki. Nie różni się prawie niczym od Człowieka, ale nie dotykajcie go. Jest przecież urojony. Żyje własną fantazją i cudzym podziwem. Nie dotykajcie go!

Ma szesnaście lat. Nie różni się prawie niczym od Człowieka. Wiosną dotyka kwiatów i pisze wiersze. Napotkane bezdomne koty zabiera ze sobą. Dlaczego więc wieczorami mówi niedobre słowa? Dlaczego cynicznie wykrzywił wargi, wymawiając „prawda”, „miłość”, „życie”?

Nie dotykajcie jej. Urodziła się z kłamstwa. Nie dawajcie jej oczom blasku, a ustom uśmiechu. Jest pajacykiem. Złośną zbuntowaną kukielką. Nie dotykajcie jej.

Ma dziewiętnaście lat. Nie różni się prawie niczym od Człowieka. Kapryśnymi ustami deklamuje „opium”, „marihuana”, nadając słowom posmak własnej wymyślonej tajemnicy. Rozbija o ścianę talerze. Rzuca o podłogę szklankami. Placze fałszywymi łzami. Nie podchodźcie! Nie ruszajcie go!

On protestuje. W trocinowej główce wyrachował sobie ile go będą kosztowały rozbita talerz. Niewiele. Sława jest niedroga. Kilkaśnięcie, kilkadziesiąt złotych. Ważne, że stać go na protest.

Stójcie! Komedio trwa dalej. Wstają z sali widzowie.

Ma szesnaście, osiemnaście czy dwadzieścia lat. Idą na scenę! Do dziś byli ludźmi. Teraz nie różni się prawie niczym od Człowieka.

Co tracą? Ile warte jest to prawie nie, którego im teraz brak? Nieważne?

Tańczą przed lustkami i biją nieporadnymi łapkami wyciągnięte do nich dłonie.

— Nie ruszajcie nas! — śpiewają. — Wasze dionie są stworzone do oklasków! Wasze oczy są stworzone do podziwu! Poza tym jesteście nam niepotrzebni!

Nie chcemy od was nie, ani przyjaźni, ani prawdy, ani miłości.

Jesteśmy, aby protestować. Świat jest zły. Trzeba go ratować rozbijaniem talerzy. Jesteśmy do tego stworzeni. I do placu nad własnym bezsensiem. Nie czujemy nic oprócz protestu. Nie czujemy do was nie. Wdzięczność? Nie znamy tego słowa.

Nie prosiłymi się na świat. Nie prosiłymi się na świat. Nie prosiłymi się na świat...

BEZETA

Motto:

„Wysoki Sądzie, oskarżam tę dziewczynę o to, że z premedytacją zabiła miłość”

(fragment opowiadania)

Kiedy czytałem listy do „Kocha, lubi, szanuje” zauważyłem wielkie ich podobieństwo do wielu nadesłanych ostatnio prac do KMA. Niejednokrotnie nie różniła się one niczym. Są równie nieporadnie napisane, posiadają równie dużą ilość błędów ortograficznych i traktują w gruncie rzeczy o tym samym.

Od prac przysyłanych do KMA wymaga się jednak czegoś więcej ponad informację, ponad to, czego można dowiedzieć się z listów, jakich tysiące przychodzi do redakcji czasopiśm młodzieżowych. Rzeczywistość, w której żyjemy musi zostać gruntownie przetworzona i osobiście przeżyta, aby mogła stać się rzeczywistością jakiegokolwiek utworu. To, co częstokroć przysyłają kandydaci na „młodych autorów” jest zaledwie szkicem, materiałem, który trzeba dopiero organizować i modelować. Tymczasem KMA dostaje prace niejednokrotnie pisane na żywo, nieraz nie czytane po raz drugi, stąd fatalna stylistyka, niekonsekwencja, pływająca myśl.

Zdarzają się jednak prace, którym pozornie trudno coś zarzucić. Długo dyskutowaliśmy na temat opowiadania zatytułowanego „Niccolo”, inspirowanego jakimś straszliwym zawodem miłosnym. Opowiadanie to jest napisane w miarę poprawnie, szczerze, autentycznie przeżyte. Ale mimo to jest to praca zła. Nie każdy ostatecznie, kto coś przeżył, musi o tym napisać. Mnie oświadcza raz, że autorka używa imienia Niccolo, gdy chłopak — jak wiemy z listu — nazywa się po prostu Józek, że opowiadanie jest tak egzaltowane, tak bardzo przepełnione uczuciem, że wręcz... śmieszne.

„Dzwonek. Otwieram drzwi — lecz to nie ty. Ty nie chcesz do mnie przyjść. Dlaczego NICCOLO, odpowiedz mi na to. NICCOLO, NICODEMO, NICCOLO, proszę przyjdź. Ciagle czekam, przyjdź, czekam, przyjdź, czekam, przyjdź, czekam, przyjdź, czekam, przyjdź, czekam... CZEKAM NA CIEBIE, NICCOLO”.

O wielkich uczuciach niekoniecznie trzeba mówić wielkim głosem. Można i należy mówić o nich prosto, zwyczajnie, bez zbędnych ozdóbek, bez śmiesznego patosu. Literackie ujęcie nie jest dokładną kopią tego, co się wydarzyło rzeczywistości, ma być raczej swobodną wariacją na ten temat.

Tak rozumiana miłość, często zewnętrzna, powierzchowna, płytką, została zresztą już powszechnie przyjęta i praktykowana, czego potwierdzeniem są wła-

Proces o zabicie albo miłość z drugiej ręki

Ale zdarzają się opowiadania, których autorzy zupełnie nie mają do powiedzenia. Ich sposób rozumienia miłości jest przerażająco wulgarny. Oto fragment prozy noszącej tytuł „Ośme piętro”.

„Młodzi, pokoik, stolik, telewizor, fotele, radio, tapczan — a na tapczanie Anna i Marcin. W pewnym momencie ona mówi:

— Mam nadzieję, że mnie już nie zatrzymasz?

— Mama chyba cię z domu nie wymelduje?

— Coś ty, mam morową matkę.

— No to wypijmy jeszcze za jej zdrowie.

— Jak chcesz, tylko szybko, bo już prawie dziewięta.

— Poczekaj, przyniosę nową butelkę, a te trzy trzeba będzie wyrzucić”.

Bohaterkę „Ośmego piętra” spotyka jednak zasłużona kara. Matka „na widok Anny” podchodzi bliżej, ręka jej zatrzymała się na wysokości twarzy i została na policzku córki pięć czerwonych palców”.

Zakończenie utworu jest optymistyczne. Uczucie zwycięża. Anna wraca do chłopaka i oświadcza mu, że tylko z nim jest szczęśliwa, po czym wypijają następną butelkę wina. Opo wiadanie to — zwróćmy uwagę — zostało napisane przez uczennicę szkoły podstawowej. W przeciwieństwie do „Niccola” inspirowane jest ono raczej „miłością z drugiej ręki”.

W tym miejscu dochodzimy do schematu, jakim bardzo często posługują się autorzy czytanych przeze mnie prac. To schematyczne, obracające się w kręgu trzech pojęć: dziewczyna-chata-szkło, pojmowanie miłości, polegające chyba na wytworzeniu sobie pewnych określonych, gotowych wzorców, które są odzwierciedleniem nie tyle rzeczywistych przeżyć, co wyidealizowanych i śmiesznych marzeń o takiej miłości, o jakiej dowiedzieć się można z kryminałów, kiepskich romanсів i złych filmów — stanowi zresztą „filozofię miłości” nie tylko młodych autorów, ale także większości nastolatków. Jedną z autorek pisze: „Pierwsze ich spotkanie było takie sobie. Pocałował ją dwa razy. Ale na pożegnanie całował ją jak na filmie”.

Tak rozumiana miłość, często zewnętrzna, powierzchowna, płytką, została zresztą już powszechnie przyjęta i praktykowana, czego potwierdzeniem są wła-

nie listy do „Kocha, lubi, szanuje”, listy osób, które podpisują się „zakochany”, „zakochana”, a które nie nie są w stanie powiedzieć o miłości poza banaliami, poza zwrótem „miłość, to wielkie uczucie”.

Schemat zresztą można znaleźć we wszystkim. I w kompozycji prac, które zazwyczaj zaczynają się od pierwszego spotkania, któremu towarzyszy uczucie szczęścia i radości, a kończy się ostatnim spotkaniem, któremu towarzyszy uczucie smutku, rozpacz, przynębnienia, rezygnacji itd. itp. Schemat wyłazi nawet wtedy, gdy młodzi autorzy próbują opisać obiekty swoich zainteresowań. Są to zazwyczaj blondynki, smukłe i piękne dziewczyny lub czarnowłose, przystojni, wysocy chłopcy. Zacytujmy zresztą:

„Na żółtym tle plaży poruszała się smukła sylwetka dziewczyny. Ciekawski królówiec pogody okrecił się wokół niej, oblaź jej jasne, długie włosy i musnął po rubinowych ustach”.

A w innej pracy:

„Jest cudny. Ocy, gdy uporczywie wpatrują się we mnie wyglądają jak dwa żarzące się węgle. Długie, czarne włosy zwijają się mu na czole. Wilgotne usta rwą się do moich ust”.

Na każdym kroku widać, jak mało młodzi piszący czytają dobrą literaturę. Ich znajomość poezji i prozy ogranicza się tylko i wyłącznie do nie najlepiej dobranych lektur szkolnych. Znajdujemy stąd utwory, które są parodią wierszy czy opowiadań klasyków literatury. No bo cóż powiedzieć o wierszu, który brzmi:

„Sama powiem ci na ucho,
lepiej zajmij się nauką.
Bo nauka więcej da
niż kochana Jasia twoja”.

Ale takie wyjście — zdaniem innej autorki — najprostsze nie jest. Ona proponowałaby raczej połączenie jednego i drugiego. A więc: „Powietrze było bardzo przyjemne, gdy stałymi pod kasztanem, okryci twoim piaskiem. Wiesz, pomyślałam sobie nawet, że zemdleję przy tobie, jeśli nie dostaniesz piątki z geografii”.

Tego, lub innego rodzaju potworków otrzymuje KMA bardzo dużo. Nie byłbym zdziwiony, gdyby autorzy liczyli sobie 10, 11 lat, ale od prawie pełnoletniego człowieka można chyba oczekiwać głębszego spojrzenia na siebie i rzeczywistość i pełnego, poważnego jej rozumienia.

Uleganie z góry narzuconym stereotypom, nieumiejętność posługiwania się słowem, banalność spostrzeżeń, nuda i śmieszność, naiwny tragizm — oto grzechy główne tych koszmarnych prac.

A tę moją mowę oskarżycielską w procesie o zabicie przez młodych autorów miłości, chciałbym skończyć prośbą: nie pisać nigdy o tym, czego nie znacie, o czym pisać nie potraficie i czego nie przeżyliście. Nie piszcie o miłości z drugiej ręki!

ZDZISŁAW JASKUŁA

P.S. Autorowi tego artykułu u dostępniliśmy listy do KMA bez nazwisk i adresów ich autorów. (red.)

